

Życie Eskimosów

Roald Amundsen



Roald Amundsen

ŻYCIE ESKIMOSÓW

Opis podróży do bieguna północnego
w latach 1903-1907

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2019

Roald Amundsen
„Życie Eskimosów”

Copyright © by **Roald Amundsen**, 1925
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2019

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie**

**może być reprodukowana, powielana i udostępniana w
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.**

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

**ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.**

Wydawnictwo: **Instytut Wydawniczy „Zdrój”**

Drukarz: **„Grafja”**

Miejsce wyd.: **Warszawa, 1925**

Tytuł orygin.: **Nordvestpassagen. Beretning om Gjøa-
ekspeditionen 1903–1907**

Projekt okładki: **Adam Brychcy**

Skład pdf, epub i mobi: **Michalski Paweł**

ISBN: 978-83-8119-612-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

PRZEDMOWA.

W książeczce niniejszej opowiada Roald Amundsen o „Ludziach na magnetycznym biegunie północnym”. Amundsen z siedmiu towarzyszami przedsięwziął w roku 1903 wyprawę do świata podbiegunowego północno-amerykańskiego, aby na statku „Gjøa” przepłynąć drogę północno-zachodnią, której odkrycie od czasów Kolumba było celem licznych wypraw. Podróż Amundsena trwała od roku 1903 do r. 1907. M’Clure odkrył tę drogę w roku 1850, ale przebył ją po większej części na saniach. Amundsen jest tedy pierwszym, któremu udało się przepłynąć tę drogę na statku. Jednocześnie spędził on ze swymi towarzyszami 23 miesiące na wyspie Króla Williama, robiąc spostrzeżenia naukowe, z których najważniejszym było nowe określenie położenia magnetycznego bieguna północnego, dokonane na Boothia Felix. Magnetyczne bieguny nie są stałe i przesuwają się z miejsca na miejsce.

Opis wyprawy Amundsena ukazał się w różnych językach pod tytułem „Droga północno-zachodnia. Moja wyprawa podbiegunowa na statku „Gjøa” odbyta w latach 1903 — 1907”. Dzieło to ozdobione jest 140 obrazkami i opatrzone 3 mapami. Niniejszy opis życia Eskimosów stanowi część tego wielkiego dzieła.

Jak powszechnie wiadomo, Amundsenowi udało się dotrzeć do bieguna południowego w dniu 17 grudnia 1911 roku.

Rozdziały dzieła Amundsena poświęcone Eskimosom należą do bardzo ciekawych. Niepodobna odmówić najwyższego podziwu biednemu ciemnemu ludowi, który w warunkach najgorszych, na wiekuistych śniegach i lodach buduje chaty śniegowe i niemal z niczego stwarza sobie narzędzia, broń i łodzie potrzebne do polowania na różne zwierzęta morskie, których mięsem się żywi, a których tłuszcz dostarcza mu jedynego materiału do oświetlania i opalania chat podczas długich miesięcy zimowych, gdy panuje tam straszny chłód i mrok nocny.

Jeśli chodzi o przykład, że nawet w najbardziej rozpaczliwych sytuacjach nie należy zniechęcać się do życia, to przykładu lepszego nie znajdziemy bodaj^[1] nigdzie, jak u tych Eskimosów, którymi Europejczyk tak niesłusznie gardzi. Stworzyć sobie warunki istnienia wśród mroków

i chłódów, to nie byle co.

Opis życia Eskimosów to pogładowa lekcja wytrwałości i dzielności godnej naśladowania. Oczywiście, Eskimosi pochłonięci całkowicie ciężką walką o byt, nie mogli stworzyć tego, co nazywamy kulturą, ale samo ich istnienie jest rzeczą zadziwiającą i ogromnie interesującą.

Redakcja biblioteki „Dziwy świata”

UWAGA.

Bieguny magnetyczne są to miejsca na kuli ziemskiej w okolicach bieguna północnego i południowego, w których igielka magnetyczna ustawia się pionowo.



PIERWSZE SPOTKANIE Z ĘSKIMOSAMI.

Chcę spróbować oddać osobiste wrażenia, jakie odniosłem z pobytu wśród Eskimosów, z którymi spotkałem się w północnej Ameryce, chcę dać obraz ich życia i ich walki o byt. Nasze spostrzeżenia co do Eskimosów bardzo się między sobą różniły i mogę śmiało powiedzieć, że każdy z siedmiu uczestników wyprawy „Gjöa” doszedł do odmiennego poglądu na Eskimosów. Rozpoczynaliśmy codzień sprzeczki z powodu ich mowy i sposobu wymawiania, tak, że nieraz nawet spieraliśmy się o pojedyncze słowa. Jeśli więc jaki mój towarzysz będzie o tych ludziach opowiadał, to pogląd jego na nich w wielu punktach będzie się różnił od mojego, a trudno będzie osądzić, który jest bliższy prawdy.

Na brzegach Króla Williama znaleźliśmy zatokę, bardzo odpowiednią dla naszego „Gjöa” i przygotowaliśmy w niej wszystko dla spędzenia zimy. Sprowadziliśmy zapasy żywności, wybudowaliśmy spiżarnię, stację obserwacyjną i domki dla Riskreda i Wüka — mogliśmy więc spokojnie oczekiwać nadejścia zimy.

Pewnego dnia gdy znajdowaliśmy się na wzgórzu, które służyło nam za punkt obserwacyjny, aby strawić śniadanie przy wesołej rozmowie i przytem jak zwykle wypatrywać renifery, jeden z nas wskazał na północ i powiedział; „Przychodzą jak na zawołanie”. I zaraz rozpoczęliśmy przygotowywać się do polowania. Ale Hansen pozostał przy mnie i widziałem jak niezwykle uważnie przygląda się czemuś.

— No, Hansen, czy nie masz chęci pójść dziś polować na renifery?

— O mam — odpowiedział powoli, ale nie na te renifery, które widzimy, lecz na te, które chodzą na dwóch nogach.

Usłyszawszy to zdumiewające powiedzenie, chwyciłem za lornetkę i skierowałem ją w stronę, gdzie miały znajdować się renifery.

Eskimosi! I rzeczywiście stało tam pięciu ludzi.

Długo i szeroko rozprawialiśmy już o Eskimosach, ale z wielu powodów uważaliśmy, że jest rzeczą nieprawdopodobną, abyśmy mogli spotkać się z nimi. Był już koniec października, przypuszczaliśmy więc, że Eskimosi wymarli na ten rok — dlatego tak zupełnie zapomnieliśmy o ich istnieniu.

A tu mamy ich przed sobą!

Przychodziły mi na myśl wiadomości, jakie mieliśmy o tych podbiegunowych barbarzyńcach. Z tymi, którzy zamieszkiwali północną Amerykę wogóle nie można było żartować — to wiedzieliśmy z opisów podróżników o tej części ziemi. Nauczyliśmy się, że wyraz eskimowski

„teima” był najlepszym pozdrowieniem przy spotkaniu. Oznaczał mniej więcej bardzo serdeczne „dzień dobry.” Wbiliśmy sobie w głowy to słowo, wymawiając je na różne sposoby.

Przytem nie popełniliśmy tego głupstwa, aby swoje zaufanie opierać tylko na tym jednym biednym słówku. Najroztropniejszym było uważać nadchodzących za nieprzyjaciół. Przeto odrazu powstał plan wojenny. Miałem wyjść naprzeciw nieprzyjaciela, a Hansen i Sund zgłosili się odrazu jako ochotnicy. Sprawdziliśmy sprawność karabinów, i ładownice zapełniliśmy nabojami. Stojąc na lodzie przed okrętem zrobiłem przegląd oddziału, ale nawet najbardziej krytycznie usposobiony dowódca musiałby być zadowolony z postawy i wyglądu tych żołnierzy. Ja sam wyglądałem bardzo wojowniczo, wyprostowałem się mocno, zrobiłem najbardziej prawidłowy obrót i zakomenderowałem: „Naprzód, marsz!”

Mając swoich zuchów tuż za sobą, poszedłem naprzód, rzuciłem jednak od niechcienia spojrzenie na pokład, gdzie porucznik i kucharz stali obok siebie. Miałem wrażenie, że ciekawe spojrzenia, jakie rzucili na naszą gromadkę, nie wyrażały nietylko należnego podziwu, ale nawet zdawały się nie oceniać powagi chwili. No tak — pomyślałem sobie — łatwo jest być wesołym, gdy się jest tak bezpiecznym na statku, podczas gdy my idziemy na spotkanie nieznanym przygodom, a nawet w odkrytym polu śmierć znaleźć możemy.

Eskimosi oddaleni byli od nas o pięćset kroków i schodzili z pagórka, kierując się ku naszemu okrętowi. Szedłem na ich spotkanie, przybierając najbardziej wojowniczą postawę, a za sobą słyszałem miarowe kroki moich ludzi. W odległości jakichś dwudziestu metrów Eskimosi się zatrzymali. Różne możliwości strategiczne przemknęły mi przez głowę — ofensywa, defensywa i tak dalej, ale wreszcie uznałem za najwłaściwsze zakomenderować: stój. Moi chłopcy zachowali się wspaniale: doskonała postawa, nogi w pozycji, dającej kąt 45 st., na twarzy wyraz odwagi i zaufania do wodza. Zacząłem obserwować przeciwników. Wydawało mi się, iż są bardzo podnieceni: wykrzykiwali, śmieli się, gestykulowali, jednak bez ujawnienia jakichś wojowniczych zamysłów. Ale nagle ustawili się w jedną linię i ruszyli naprzód.

Niech tam — pomyślałem — lepiej umrzeć z honorem, niż ratować się ucieczką, jak tchórze. I zakomenderowałem: Naprzód marsz!

Ruszyliśmy naprzód, zupełnie na to przygotowani, że nieprzyjacieli zacznie do nas mierzyć z łuków. Ale nie, najwidoczniej ma co innego na myśli. — Podstęp wojenny?

Nagle w mózgu mym, podnieconem oczekiwaniem bitwy, zabłysnęło słowo „Teima”. I z całych sił krzyknąłem nieprzyjacielowi: „Teima”. Eskimosi zatrzymali się. Ale nasze podniecenie jest już zbyt wielkie — teraz musi nadejść rozstrzygnięcie, więc biegniemy naprzód, gotowi do walki. Wówczas słyszę okrzyk:

Manik — tu — mi! Manik — tu — mi!

A to brzmi tak jasno, zrozumiale, czytaliśmy bowiem u Mac Clintock’a, że wyraz ten oznacza najserdeczniejsze pozdrowienie Eskimosów. W jednej chwili rzucamy broń i biegniemy ku naszym przyjaciołom z okrzykiem: Manik — tu — mi! Manik — tu — mi!

Krzyczymy wszyscy równocześnie, obejmujemy się, klepiemy po ramieniu i nie wiem doprawdy czy radość była większa po ich stronie, czy po naszej.

Nasi przyjaciele zadziwili mnie w najwyższym stopniu swoim wyglądem. Niedawno opuściliśmy brzydkich, płaskonosych Eskimosów z północnego wybrzeża Grenlandji, a tu trafiliśmy na szczep, którego poszczególni przedstawiciele mogli być nazwani pięknymi. Dwóch z nich było podobnych do indjan, wyglądali tak, jakby byli bohaterami powieści Coopera. Byli dobrej budowy i wysokiego wzrostu. W braterskim porozumieniu szliśmy do okrętu. Nie mogę twierdzić, żebym doznawał wzniosłego zadowolenia dowódcy armji.

Nasi goście przyjęli zaproszenie na statek z wielką radością. Na pokładzie leżały setki zabitych reniferów — i Eskimosi wytrzeszczali oczy widząc ten zapas mięsa, ale nic nie powiedzieli. Długo staliśmy razem i gwarzyliśmy, śmiejąc się z nimi i żartując. Wtedy szepnął mi Lindström, że należałoby ich czemś ugościć. Naturalnie, zgodziłem się na to i poleciłem mu, aby ugotował kawy i przyniósł sucharów. Zabraliśmy naszych gości na dół, do sali ogólnej — w kajucie widziałbym ich niechętnie, gdyż obawiałem się, że nie będą sami: północno-grenlandzcy Eskimosi znani są bowiem z wielkiego zawszawienia.

Przyniesiono kawę i chleb, ale widocznie tem im nie dogodziłem. Gestami dali poznać, że chętnie by coś wypili i twarze ich się rozpromieniły, gdy podaliśmy im wodę. Każdy z nich wypił cały litr. Ale jeżeli lodowatą wodę woleli od kawy, w takim razie możeby także...

— Hej, Lindström, daj te udźce reniferów, które tam leżą!

Tak, miałem rację, to było coś zupełnie innego niż suchary. Teraz też spostrzegłem, że nie byli tak zupełnie nieuzbrojeni, jakby się zdawało na

pierwszy rzut oka. Z za cholewy powyciągali duże, długie noże i mięso z udźców pookrawali i zjedli w nieprawdopodobnie krótkim czasie, pozostawiając tylko kości. Na początku mieliśmy wielkie trudności w porozumieniu się z naszymi gośćmi. Ale później udało się nam wyrazić im chęć nauczania się słów, oznaczających przedmioty najzwyczajniejsze, poczem zaczęliśmy się szybko porozumiewać. Eskimosi u nas przenocowali, a nazajutrz powrócili do domu. Zdołaliśmy wytłumaczyć im, że chcielibyśmy kupić od nich wyprawione skóry. Gdy zobaczyli w jaki sposób zabraliśmy się do wyprawiania skór, ujawnili ogromną wesołość, z czego wywnioskowaliśmy, że wyprawianie skór należy pozostawić innym.

Po dwóch dniach ukazali się Eskimosi znowu i przynieśli kilka ładnych skór reniferowych. Wykazali duży spryt handlowy, przynosząc tylko skóry z dużych rogaczy, które dla nich samych nie przedstawiały wielkiej wartości. Ale my zapłaciliśmy im tą samą monetą i daliśmy za każdą sztukę jedną — podkreślam wyraźnie: jedną igłę. Postanowiłem towarzyszyć im w drodze powrotnej, aby zobaczyć jak i gdzie mieszkają. Dali nam do zrozumienia, że nie potrzebują po drodze szukać noclegu, z czego wywnioskowałem, że nie mieszkają zbyt daleko. Nazajutrz wyruszyliśmy o wpół do dwunastej.

Miałem sanie, na których ułożyłem futrzany worek do spania, trochę jedzenia i różnych rzeczy, przez Eskimosów bardzo cenionych. Gości zaprząłem do sani, a sam założyłem narty i pomknęliśmy szybko w kierunku zachodnim. Eskimosi nie mieli ani nart, ani kanadyjskich śniegowców, ani nic podobnego. Biegli tak dobrze po stwardniałym śniegu, że musiałem porządnie nogi wyciągać, aby im dotrzymać kroku.

Było to dziewiątego października i bardzo wczesnie robiło się ciemno. Dlatego uważałem za wskazane naglić do pośpiechu. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, jak obojętną jest rzeczą dla Eskimosa, czy podróżuje za dnia, czy w nocy, w czasie pięknej pogody, czy w najgłębszej mgle, podczas wichury, czy ciszy, albo nawet czy znajdzie się wśród takiej śniegowej nawałnicy gdy człowiek końca nosa swego nie widzi. Dowiedziałem się o tem dopiero później, gdy się z nimi zbliżyłem. O wpół do czwartej zaczęli nam pokazywać, że zbliżamy się do ich siedziby. Ze szczytu jednego wzgórza dostrzegłem na drodze wygodnej, dobrze osłoniętej kilka błyszczących światełek. Było teraz już prawie zupełnie ciemno. Eskimosi wydawali okrzyki radości, dając wyraz zadowoleniu z tego widoku. Małe światełka, ukazujące się na dole, migotały bardzo

gościnnie i budziły myśl o cieple i wygodzie, o jedzeniu i picu, o wszystkim, co nęci wędrowca w ostrą i mroźną noc zimową.

Gdy zbliżyliśmy się na taką odległość, że można było się porozumiewać wołaniem, moi towarzysze zaczęli wydawać okrzyki, z których uchwyciłem słowo kabluna, tj. biały człowiek. Mieszkańcy tej osady zaczęli się snuć dokoła. Nadzwyczajny był to widok, który teraz przywołuję w pamięci i którego nigdy nie zapomnę. Na pustym polu śnieżnej krainy otoczony byłem gromadą dzikich ludzi, którzy wrzeszczeli jak szaleni, zaglądali mi w oczy, dotykali się mego ubrania, głaskali mnie i poklepywali. Światelka padające z okien lodowych nabierały tonu jasno-zielonkawego od blasków gasnącego słońca. Takie spostrzeżenia mogą być bardzo miłe, ale nie przy dwudziestu stopniach mrozu i przy pustym żołądku. Tęskniłem do ciepłego domu i do ciepłej strawy. Z jednym więc Eskimosem, który mi się najbardziej podobał, poszedłem do jego domu. On i jego rodzina mieszkali razem z drugą rodziną w dużej chacie, w której mieściło się wygodnie ośmiu mieszkańców. Wkrótce po naszym przybyciu zgromadzili się mężczyźni całej kolonji przy wieczerzy, składającej się z mięsa reniferowego i wody. Trzy całe renifery zjedli tak szybko, jak ja zjadam bułkę z szynką. Eskimosi śmieli się przytem i gwarzyli nieustannie. Żadna kobieta nie brała udziału w tej uczcie. Gdy starałem się wytłumaczyć jak my odnosimy się do naszych kobiet i żonie naszego gospodarza, która pilnowała ognia, podałem kawałek mięsa, Eskimosi wybuchnęli głośnym śmiechem i patrzyli na mnie jak na skończonego głupca. Gdy wreszcie mężczyźni się nasycili, pozwolono zbliżyć się kobietom. Te pozdrowiły mnie swoim Monik — tu — mi! i dotykały mego ciała, potem znikły znowu, nie dostawszy nic do jedzenia. Później jednak uspokoilem się w tym względzie, gdyż, jak słyszałem, kobiety same myślą o swem pożywieniu i na ich stole równie szybko znika cały upieczony renifer. Koło godziny dziesiątej położyłem się na mojem pościu, które rozłożyłem sobie na tapczanie między dwiema rodzinami. Spałem dobrze do rana, chociaż ruch zaczął się nim się rozwidniło. Widziałem, jak Eskimosi odkrywają górną część ciała i leżą nago pod przykryciem skórzanem — aby o świcie brać kąpiel powietrzną.

Doprawdy, bardzo chłodna przyjemność! pomyślałem i zawinawszy się mocniej w swój worek, ponownie usnąłem. Po południu powróciłem do domu.

MIESZKAŃCY WIOSKI NEDŻILI.

Eskimosi na wyspie Brothia-Felix, na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki, dzielą się, jak sami twierdzą, na plemiona następujące; Icznachtorwik, Nedżili, Utchochidżalik, Ogluli i Kilnermiun. Przez ciągłe obcowanie, przez małżeństwa i przez przechodzenie jednych do drugich, tak się te różne plemiona ze sobą zmieszały, że mogą być uważane w rzeczywistości za jedno plemię. Ubiór, wygląd i obyczaje mają prawie takie same, co sprzyja jeszcze większemu stapianiu się tych plemion.

Plemię Ogluli wyróżnia się tem, iż miało najwięcej stosunków z białymi. W ich to bliskości ludzie z ekspedycji Franklina oddali ostatnie tchnienie z nimi też później spotkali się podróżnicy (Clintock, Hall, Szwatka), którzy wyruszyli na poszukiwanie dokumentów Franklina i do dziś dnia zachowały się u nich pojedyncze wyrazy angielskie np. uoter (woda) i naimine (nóż). Poza tem nie widać u nich było żadnych przedmiotów, któreby wskazywały na zetknięcie się z białymi. Tak np. mieli oni nadzwyczaj mało przedmiotów z żelaza. U innych szczepów, z wyjątkiem Nedżili, brakło wyrobów z żelaza zupełnie.

W tym samym roku, w którym dotarliśmy do kraju Króla Williama, czterech Eskimosów wybrało się na południe celem sprzedaży futer. Przejawili tu pewien zmysł przedsiębiorczości, którego nie zauważyliśmy u żadnego innego plemienia. Zresztą przy pierwszym spotkaniu z Eskimosami nie zauważyliśmy nic, coby mówiło o ich stosunkach ze światem zewnętrznym; mieli zaledwie kilka żelaznych drągów i noży, które nabyli od Eskimosów południowych. A więc nagle znaleźliśmy się w obliczu ludzi z czasów kamiennych, zostaliśmy więc przeniesieni o kilka tysięcy lat wstecz, do ludzi, którzy nie znali jeszcze innego sposobu zapalania ognia, jak za pomocą tarcia dwóch kawałków drzewa i którzy jedzenie zagrzać mogli nad płomieniem lampki z tranem foki, podczas gdy na naszej nowoczesnej maszynie gotowało się ono po kilku minutach. Przyszliśmy z naszymi precyzyjnymi rodzajami broni do ludzi, którzy używali jeszcze dzid, strzał i łuków. Ich przyrządy do łowienia ryb stanowiły długie haczyki, zrobione z rogów reniferów. Godzinami całymi musieli cierpliwie wystawać, aby złowić jaką nadpływającą rybę, podczas gdy my zarzucaliśmy sieć i odrazu mieliśmy ryb do woli.

Ktoby zresztą ujemnie oceniał rozum tych ludzi, sądząc po ich naczyniach domowych, broni i innych sprzętach, ten uczyniłby im

krzywdę. Okazuje się bowiem, że te proste narzędzia i przedmioty odpowiadają tak doskonale celowi, dla którego zostały wykonane, że tylko długie doświadczenie i mądre próby, dokonywane w ciągu setek lat mogły wydać tak dobre owoce.

Nedżili, ojczyzna i raj ziemski Eskimosów leży na przylądku Brothia. Jezioro północne Willem z brzegami, porośniętymi mchem i mały strumyk płynący do morza nosi tę nazwę już od setek lat. To jest ojczyzna szczepu Nedżili, skąd ich ojcowie i przodkowie w jasne noce letnie wyruszali ze swych namiotów na polowanie. Tu biegali jako dzieci ze swymi łukami i, strzelając do małych ptaszków, zaprawiali się do łowów na grubą zwierzynę. Stąd jako młodzieńcy wyruszali w towarzystwie starszych, tu otrzymywali wiele cennych rad i wskazówek i poczynili cenne doświadczenia, aż wreszcie jako ojcowie i mężowie sami rozpoczynali walkę o byt w tem życiu, jakie było im przeznaczone.

Mamy połowę czerwca, najpiękniejszego miesiąca tych okolic. W spokoju i ciszy możemy korzystać z cudownych wieczorów letnich, gdyż nie pojawiły się jeszcze komary, będące jedną z najstraszniejszych plag podbiegunowych — mogące najładniejszą noc zamienić w istne piekło. Dokoła leżą rozrzucone pojedynczo namioty. Jeden z nas wybrał sobie wystającą skałę, z której rozciągał się widok na plac, pełen namiotów, inny — brzeg małej sadzawki, w której grube i tłuste pstrągi pływały we wszystkich kierunkach. Namioty nie wyglądają bynajmniej wspaniale. Przeważnie są pozszywane ze skór reniferów i fok. Namioty najlepszych łowców są zrobione tylko ze skór fok, zaś namioty najgorsze ze skór reniferów. Skóra foki jest cenniejsza niż skóra renifera.

Atikleura tego lata rozbił namiot swój na najwyższej skale, z której mógł śledzić renifery, jak tylko się ukażą. Jego namiot jest okazały, bo składa się z cienkich, dobrze wyprawionych skór fok. Nawet szwy jego namiotów są ładniejsze, niż szwy namiotów innych. Otwór namiotu zwrócony jest pod wiatr. Bogaty człowiek jak Atikleura używa do swego namiotu trzech drągów, drąg główny podtrzymuje cały namiot, zaś dwa złożone na krzyż stanowią wejście. Aby namiot przylegał szczelnie do ziemi, dolne jego części obciążone są dużymi kamieniami. Gdy Eskimosi wyruszają dalej, kamienie te pozostają na miejscu i tworzą koła. Te koła nazywają się pierścieniami namiotowymi; znajdowaliśmy je rozsypane po całej Ziemi Króla Williama. Urządzenie w namiocie Atikleury nie jest

wykwintne, ale wyjątkowo czyste i porządne, jak na mieszkanie Eskimosa. Grunt mchem porosły, na którym stoi namiot, jest pokryty licznymi skórą reniferów. Nigdzie nie widać naczyń kuchennych. Kuchnia znajduje się przed samym wejściem do namiotu. Olejną lampę używa się tylko w zimie, w lecie grzeje się strawę przy ognisku z suchego wrzosu. Ogień rozpala się między dwoma kamieniami, a garnek wstawia się w szparę między nimi. Garnki do gotowania bywają różnej wielkości. Są zrobione z miękkiego kamienia, który otrzymuje od swych przyjaciół Eskimosów Utkochidżalik.

Mały Anni skacze i bawi się między namiotami, grozi mu niebezpieczeństwo, że zostanie rozpieszczony. Wszystkie dzieci w jego wieku muszą pracować, ale u ludzi bogatych jest inaczej. Errera, najstarszy syn jest wspaniałym chłopakiem. Wraca właśnie z połowu ryb. W jednym ręku niesie wędkę (kakiwa), a na barkach dźwiga plecak, w którym jest jego zdobycz. Rzuca plecak matce, która ze swą odwieczną robotą siedzi ciągle w namiocie, widły do łapania ryb opiera o namiot. Widły te składają się z czterech części: z drzewca, które im jest dłuższe, tem lepsze. Mniej, niż trzy metry mieć nie może. Na jednym końcu drzewca przymocowane są trzy inne części tego narzędzia za pomocą sznurów, zrobionych ze ścięgien reniferów. Dwie z nich są zupełnie równe, stanowią one części zewnętrzne wideł i obie zakończone są haczykami, zwróconymi do wewnątrz. Trzecią część stanowi ostrze, które wbija się mocno na koniec drzewca. To ostrze przebija rybę, a haczyki boczne nie pozwalają jej już się zsunąć. Początkowo to narzędzie robione było tylko z rogu renifera, w naszych czasach ostrze wewnętrzne i boczne haczyki bywają często zrobione z żelaza, a widełki zewnętrzne z kawałków kości piżmowca. Róg piżmowca jest materiałem bardziej elastycznym, niż róg renifera.



Mały Anni już uciekł do matki Nalungji, która zagląda do wnętrza plecaka, aby zobaczyć co w nim jest. Teraz chodzi o to, aby sobie zdobyć smaczny kasek. Każdy chciałby dostać surowe oczy rybie, które są dla Eskimosów specjalnym przysmakiem. Mały Anni czeka, dopóki nie otrzyma swej porcji. Inni członkowie rodziny zjadają część łupu na surowo, resztę kładzie się w garnek do zagrzania. Właściwie pokarmów nigdy się nie gotuje, a ogrzewanie ich nie jest sprawą tak prostą, jakby się zdawać mogło. Eskimosi nie znają naszych zapalek, dających ogień w jednej chwili. Ich przyrząd do niecenia ognia jest bardzo pierwotny. Składa się on z dwóch kawałków drzewa, z których jeden jest płaski i ma w sobie zagłębienia, a drugi na obu końcach jest zaokrąglony, poza tem z kawałka kości reniferowej i grubego sznura ze ścięgna reniferowego. Do

rozniecenia ognia nieodzowny jest nadto mały woreczek, napęczniony mchem suszonym. Gdy trzeba ogień rozniecić, kładzie się ów płaski kawałek drzewa na twardej podstawie otworem ku górze; drugą część, a mianowicie krągły drążek wkłada się końcem ściśle dopasowanym do jednego z otworów, a drugi koniec tego drążka w odpowiedni otwór kości reniferowej, którą opiera się o pierś niecącego ogień. Ściągną renifera okręca się raz około drążka, poczem pociąga je się szybko w jedną i drugą stronę. W zimie czynność ta trwa dość długo, w lecie jednak gdy drzewo jest suche, ogień rozpala się bardzo szybko. Wkrótce rozbłyskuje na obu kawałkach drzewa, a Eskimos, który ogień rozniecił odpoczywa i przygląda się. Jeżeli tarcie trwało dość długo, to wytworzył się drobny proszek drzewny, który teraz się żarzy. Ten rozżarzony pył strząsa się z drzewa do woreczka napęcznionego mchem i dmucha się nań tak długo, dopóki mech się nie zajmie. Gdy się to szczęśliwie udało i mech się rozpałił, wówczas zbliża się go do jakiegoś materiału, nasyczonego tranem, poczem rozbłyskuje duży jasny płomień. Kto pierwszy wzniecił ogień, ten oczywiście używa go swemu sąsiadowi.

Pokazałem im raz jednego jak przy pomocy słońca i szkła zapalającego można rozniecić ogień. To wprawiło ich w zachwyt, ale nie przyszło im na myśl nabyć takie szkło i przyswoić sobie ten wynalazek.

Gdy wreszcie ryba jest gorąca, rodzina cała z powagą zasiada do jedzenia. Atikleura i jego rodzina oczywiście nie znają noży i widelców. Muszą zadowolić się wyłącznie temi przyrządami do jedzenia, jakie dała im natura. To też często parzą sobie ręce, ale się tem zupełnie nie przejmują. Po jedzeniu każdy z nich czas jakiś spędza według swego upodobania. Errera spostrzega, że coś się zepsuło w jego widłach i stara się je naprawić. Eskimosi wszelką pracę wykonywują przy śpiewie, jeżeli wogóle miano śpiewu można dać dźwiękom przez nich wydawanym. Ale najmniejszej pracy wykonanej czy to przez mężczyznę, czy przez kobietę towarzyszą zawsze monotonne, dziwaczne dźwięki: c — d — e — f, f — e — d — c, c — d — e — f, f — e — d — c i tak w nieskończoność. Naturalnie można zwarzować, słuchając tej monotonnej muzyki. Gdy Errera naprawił swoje widły, Nalungja zabrała się do sporządzenia kajaka Atikleury. Kajak leży przed namiotem na trzech małych kupkach kamieni, które są tak wysokie, że psy na nie wskoczyć nie mogą.

Cała robota z drzewa jest wykonana. Trzeba tylko jeszcze dopasować i posklejać poszczególne części. Zestawienie ostateczne kajaka wymaga wielkiej cierpliwości Nalungji, gdyż kajak składa się z wielu drobnych

kawałków drzewa, które muszą do siebie szczelnie przylegać. Do łączenia tych części używa się znowu ścięgień renifera, które po wyschnięciu nadają się do tego użytku, jednak gdy są mokre, stają się rozciągliwymi i części niemi powiązane mogą się rozpaść. Gdzie chodzi o ładniejsze wykończenie, używany jest klej sporządzany w bardzo specjalny sposób z krwi reniferów. Małeńki woreczek napełnia się krwią, poczem Eskimos bierze go w usta i ssie przez dłuższy czas. Krew ścina się i staje się gęstym płynem, który dorównywa dobrocią naszym najlepszym klejom.

Chodźmy teraz do sąsiada Atikleury, Kaa — aak — hea, aby zobaczyć jak wygląda jego dom. Rzut oka na zewnętrzną część namiotu wystarczy dla nabrania przekonania, że spotkamy się tutaj z zupełnym przeciwieństwem ładu, jaki widzieliśmy u Atikleury. Wśród skór namiotu niema ani jednej skóry foki, cały namiot pozszywany jest wyłącznie ze skór reniferowych i to dziurawych i pociętych przez robaki. Eskimos nie dbał nawet o to, aby je oczyścić z sierści, trzymającej się miejscami na skórze. Szwy również zrobione są niedbale. Namiot jest tak brzydki, że niewątpliwie ja potrafiłbym zrobić lepszy. Cała masa ości rybich leży przed namiotem i przyciąga roje much.

„Manik — tu — mi! Kaa — aak — hea!”

Przeciągłe, żałosne Manik — tu — mi dobiega do moich uszu z pod kupy skór. Eskimos jeszcze nie wstał. Widać tylko kępy zwichrzonych włosów i dwoje krwią nabiegłych oczu, błyszczących z pod skóry, którą jest okryty. Tutaj wszystko czuć brudem, którego jest pełno dokoła. Dlatego nie rozpoczynam z nim dłuższej rozmowy, choć chciałbym, ale nie mogę współczuć z tym człowiekiem, który skutkiem swego nieokrzesania skazany jest na opuszczenie i samotność.

Z pierwszą swoją żoną obchodził się bardzo źle, bił ją tak bardzo, że całe ciało miała pokryte sińcami. Szczęściem dla niej było, że umarła. Kaa — aak — hea uważał, że smutny jest los wdowca i zaczął rozglądać się za inną żoną. Nie jest to jednak rzecz łatwa, gdyż w tym szczepie kobiety są bardzo nieliczne. Miał więc dość rozumu, aby wyjechać za granicę dla wyszukania żony w innym plemieniu. Po upływie kilku miesięcy powrócił i przywiózł z sobą dziewięcioletnie dziecko. To dziecko było jego żoną. Okropna była odzież tej dziewczynki. Biegała w starym zupełnie zniszczonym ubraniu Kaa — aak — hea, które oczywiście było na nią za duże. Takie same mniej więcej miała obuwie. Była często bita, a mało dostawała jeść. Pewnego pięknego dnia uciekła. Bez jedzenia i prawie bez ubrania biegło to biedne dziecko trzydzieści mil, nim spotkało ludzi, którzy

się niem zaopiekowali. Teraz więc stary niedźwiedź żyje sam. Starszy jego brat Akla był o wiele lepszy od niego, choć nie był również ozdobą swego rodu. Akli żoną była Pandora, największa i najsilniejsza kobieta tego szczepu. Prawdopodobnie te cechy jego żony powstrzymywały go od traktowania jej tak, jak jego brat traktował swoją żonę. Trzeci brat, Ojara był najlepszym z nich i jednym z najbardziej obiecujących ludzi swego plemienia. Mógł mieć dwadzieścia siedem lat, był wysokiego wzrostu, miał ciemne włosy i serdeczny pociągający uśmiech. On i jego przyjaciel Akiwa byli podporami swego rodu. Mieli obaj piękne, młode żony: Alo — Alo i Alerpa. Kiedy poznałem te młode pary, Ojara był mężem Alo — Alo. Gdy wkrótce potem do nich przyszedłem, znalazłem zmienione stosunki. Teraz Alo — Alo siedziała na miejscu żony w namiocie Akiwa. Gdy dałem im do zrozumienia, że uważam, że źle zorientowałem się w sytuacji za pierwszym razem, albo też nie orjentuję się obecnie, pełna kokieterii młoda kobietka przechyliła się ku swojemu mężowi, wzięła jego głowę w swoje ręce i potarła nosem o jego nos, jak gdyby chciała powiedzieć: „Widzisz chyba, że tu nie może być mowy o jakimś złym zrozumieniu sytuacji”. Tarcie nosa o nos oznacza u Eskimosów to, co u Europejczyków pocałunek. Naturalnie powstrzymałem się już od robienia uwag. To zresztą był jedyny wypadek wymiany kobiet, jaki zdarzyło mi się zaobserwować. Obaj mężczyźni byli dzielnymi strzelcami, a kobiety, mimo młodego wieku, doskonałymi gospodyniami. Ich namioty leżały obok siebie. Na małym przylądku tuż przy rzece leży inny namiot. Musi on należeć do „grubej ryby”, tak wyjątkowo jest piękny i bogaty. Właściciel musiał zrobić dobry połów ryb, a wszystko zdaje się świadczyć o tem, że jego właściciel myśli o przyszłości, co u Eskimosów jest rzeczą rzadką.

Dowodem tego patrzenia w przyszłość są całe sznury ślicznych, małych łososi i pstrągów, porozwieszanych do suszenia. Już zdaleka słysząc śmiech właściciela namiotu, Kachkochnelli. Był to człowiek w wieku między 40-tu a 50-ciu lat i jeden z najlepszych strzelców plemienia. Wykazywał on także rzadkie zdolności kupieckie. Ciągłe z kimś handlował. Rodzina jego składała się z żony i trojga dzieci: Żona, typ dorodnej chłopki, była zawsze słodka i uprzejma. Nazywaliśmy ją „teściową”. Kachkochnelli chciał bowiem koniecznie, abym kupił Ojary żonę, Alerpę, która była jego córką — w ten sposób jego żona byłaby moją teściową. Oczywiście ta propozycja ogromnie nas ubawiła. Targ nie doszedł do skutku. W małym namiocie nieco dalej położonym mieszka Poieta, młodszy brat Atikleury ze swoją żoną Nalungją i małym synkiem.

W namiocie ich jest ciasno, ale jak na Eskimosów względnie czysto i porządknie. Nalungja opiekuje się swoim synem z wzruszającą miłością. Zachowuje się przytem zupełnie jak kotka, liże całe jego ciało tak, iż ono się świeci. Zresztą malec nie jest nawet jej dzieckiem, otrzymała go w prezencie od jednej matki, która widocznie miała dzieci za dużo. Po tej „kąpieli” dziecko jest spragnione, co okazuje głóśnemi wrzaskami. Wtedy dokonywa Nalungja takiej sztuki, jakiej jeszcze nie widziałem. Szybko bierze łyk wody do ust, potem zbliża je ruchem błyskawicznym do ust dziecka i z bajeczną zręcznością daje mu pić ze swoich ust. Ponieważ teraz przyszli goście, odkłada Nalungja dziecko na bok, aby gawędzić z przybyłymi. Chłopczyk tymczasem leżał spokojnie na skórze reniferowej i z zadowoleniem ssał swego „pocieszyciela”. Jest to albo flaszką ze smoczkiem, albo poprostu kawałek słoniny, w którą włożony jest długi patyk. Patyk ten położony jest wzdłuż ust, tak iż słonina nie może wpaść do gardła. Dziecko więc może pozostawione być samo i nic złego stać mu się nie może.

Rola matki w tym kraju nie jest do pozazdroszczenia. Niemal do dwóch lat — często nawet dłużej — bywa dziecko noszone w małym woreczku na plecach, lecz nie w kapturze, jak możnaby przypuszczać. Kaptur służy tylko do okrycia głowy gdy jest zimno. Byłby równie użyteczny, gdyby był o dwie trzecie mniejszy. Oczywiście, że taki jaki jest, przydaje się bardzo do ukrywania rzeczy skradzionych. Dziecko jednak bywa zawsze noszone w rodzaju worka, który jest tak mały, gdy jest pusty, że nie dostrzega się go na plecach. Tam leży owo maleństwo zupełnie nagie z zadartemi nóżkami jak żabka. Na plecach matki jest mu oczywiście bardzo ciepło. Aby zabezpieczyć dziecko od wypadnięcia, opasuje matka zwierchnią suknię ścięgnem reniferowem, skręconem w gruby sznur. Ten sznur zapięty jest na przodzie dwoma guzami drewnianemi, albo rogowemi, tak iż można go rozpiąć w jednej chwili, gdy dziecko ma być wyjęte. Oczywiście, że potrzeba taka zachodzi bardzo często, a załatwiać ją trzeba z błyskawiczną szybkością. Widziałem jak niemowlęta w tych warunkach wrywane zostawały z ciepłego schronienia, a następnie nagie przez kilka minut trzymane były na zimnie, wynoszącym 50 st. Celsjusza. Zdawałoby się, że to zawiele dla tak małego dziecka, ale nie szkodzi mu to bynajmniej. Wesela u Eskimosów odbywają się cicho i spokojnie. Gdy dziewczynka ma lat czternaście przybywa do narzeczonego — naogół bywa odwrotnie — i mieszka z nim w domu jego rodziców. Dziewczyny wychodzą za mąż, gdyż rodzice chcą się ich pozbyć, a mężczyźni żenią

się, aby mieć jeszcze jedno zwierzę robocze, gdyż naprawdę kobieta jest przez Eskimosów traktowana prosto jak zwierzę domowe.

Nawet nasz przyjaciel Uhu, którego namiot wznosi się na zachodniej stronie doliny, nie postępuje pod tym względem lepiej od innych. Teraz właśnie wraca z łukiem i strzałami z polowania na ptaki. Zdobycz swą rzuca bez jednego słowa przed Kablokę, która zajęta jest szyciem. Wie ona już czego od niej żądają i zaraz zabiera się do przyrządzenia ptaków. czasem siada i Uhu, aby wypocząć po pracy całodziennej. Najpierw musi się pozbyć mokrych zabłoconych butów ze skóry fokowej. Nie byłby Eskimosem, gdyby miał zdjąć je sam — ot, prosto wyciąga nogi do żony. Ta w jednej chwili odkłada na bok robotę, głowę pochyla tak, iż ta znajduje się pod nogami męża, chwyta mocno zębami za but — obcasów niema — i ściąga go w ten sposób. Nic sobie z tego nie robi, że ma usta pełne błota z rozmiękłych butów męża. Wtedy zrozumiałem dlaczego Eskimosi trą się nosami, zamiast się całować. Usta ich bowiem służą nie tylko do mówienia, są one uniwersalnym narzędziem, używanym do wszelkich możliwych czynności. Dlatego są wyjątkowo rozwinięte i silne. Zęby mają kształt bardzo osobliwy. Gdy nasze są cienkie i ostre, zęby Eskimosów są szerokie i duże. Zgryzają zęby swe tak, iż po latach pozostają tylko korzenie, co u nas nigdy się nie zdarza. Za to nigdy nie słyszałem o bólu zębów u Eskimosów. Anuna, matka Uhu, widocznie miała jeszcze wszystkie zęby, ale były tak zniszczone, że ledwo wystawały z dziąseł. Jeśli chodzi o jakąś pracę, wymagającą siły, której podołać nie mogą, wtedy Eskimosi pomagają sobie zębami, Np. naprostować zębami krzywy ząb jest dla Eskimosa drobnostką, ale palcami tego zrobić nie może.



Eskimosi nie mają wyrobionego poczucia porządku, gdy przestają szyć, kładą igłę byle gdzie. I gdy po kilku godzinach potrzebują jej znowu, szukają, jakby w stogu siana. Wszystkie skóry się przerzuca, a namiot cały przewraca się do góry nogami dla odnalezienia igły. Przed naszym przybyciem mieli igieł bardzo niewiele. Posiadanie igły uważane było już za bogactwo. Ale zrobienie jej przedstawiało pracę nielada. Robił ją sam ojciec rodziny z kawałka żelaza lub rogu, zależnie od tego, co miał pod ręką. A praca ta świadczy o jego niezwykłej zręczności, gdyż zrobienie igły nie tylko możliwej, ale zupełnie dobrej przy pomocy tak prostych narzędzi nie jest rzeczą łatwą. Coprawda Eskimos ma dużo czasu, ale chciałbym widzieć kogoś u nas, kto mając nawet czas po temu, wytrzymałby taką próbę cierpliwości.

Obok Uhu przez ścianę mieszka brat jego, Umiktuali ze swoją żoną, córką i synem. Umiktuali ma sławę świetnego łowcy i jest tak samo ceniony przez Eskimosów co Atikleura. To też rodzinie jego nie brakuje na niczem, posiada on całe mnóstwo skór i ubrań. Zresztą w mieszkaniach tych jest nieznośny odór rybi, wszystko czego się tknąć, przesiąknięte jest olejem rybim.

Mali chłopcy włączają się po lodzie i łowią dorsze, a dorośli w bieżącej wodzie pstrągi. Szczupak łowi się na wędkę, której haczyk zrobiony jest

ze skrzywionego gwoźdźca. Mały pędrak sześćoletni może w ciągu jednego dnia złowić dużą ilość ryb.

Jeszcze cztery namioty należą do tych Eskimosów, którzy stanowią nasze towarzystwo, ale u właścicieli tych namiotów nie byliśmy z wizytą. Trzech z nich poznaliśmy jako kłamców, próżniaków i uważaliśmy ich za nicponiów. Czwarty to Eskimos Ogluli Nulieiu, człowiek godny zaufania, który na lato połączył się z Eskimosami Nedżili.

Poza tem wymienię jeszcze Tulurnakto, który ciągle się przeprowadzał i mieszkał to tu, to tam. Jego rodzina uważała go za warjata, ale w rzeczywistości był on najmądrzejszy z nich wszystkich. Często razem z Uhu towarzyszył nam w naszych ekspedycjach.

O jednym zapomniałem — właśnie schodzi ze wzgórza. Bawił poza domem. Jest najstarszym w tym plemieniu i uchodzi za najzręczniejszego czarownika, Aleingan Kagoptinner, albo „siwowłosa”. Mogę porównać go tylko ze starym, szcawanym lisem. Atikleura i Poieta są jego dziećmi, mieszka u tego ostatniego. Może mieć lat sześćdziesiąt, albo siedemdziesiąt, a jego czarne włosy i wspaniała broda są przypruszone siwizną, skutkiem czego nazwany został „siwowłosym”. Ma wygląd władcy mogącego rozkazywać i zdaje się, że istotnie wzbudza duży szacunek. Sam uważa się za najpierwszego w swoim rodzie, duma maluje się na jego twarzy. Nie mogłem zdać sobie sprawy, czy istotnie sam uważa się za wyższego od innych, czy też odgrywa tylko taką komedię. Zdaje mi się, że to ostatnie przypuszczenie jest słuszniejsze. Dowodził, że był na księżycu i opowiadał długo i szeroko o swoich wrażeniach. On sam, oczywiście według swej opowieści, odgrywał tam wielką rolę. Eskimosom, którzy tu na ziemi będą się stosowali do jego woli, zapewniał miejsce na księżycu. Mówił, że polowania na renifery odbywają się tam na niezmierzonych przestrzeniach, a poza tem można mieć różne inne przyjemności. Tym, którzy nie zupełnie byli mu posłuszni przeznaczał miejsce na gwiazdach, gdzie naturalnie także czas jakiś przebywał — tych jednak, którzy absolutnie odmawiali mu posłuszeństwa, strącał na ziemię. Wszyscy niezachwianie wierzyli w te bajki. Gdy Uhu złamał pewnego razu obojczyk, leczyłem go bezskutecznie. Poprawa nastąpiła dopiero wówczas, gdy dopomógł mu Alleingan. Nie wiem jednak zupełnie na czym ta pomoc polegała. W tem plemieniu utrzymało się podanie o rodzie olbrzymów, który zamieszkiwał ten kraj przed Eskimosami. Ród ten nazywał się „Tungi”, mówiło się o nim zawsze z największym szacunkiem. Tungi byli znacznie więksi i silniejsi od Eskimosów i odziewali się skórami

niedźwiedzi. Ruiny starych chat z kamienia ciosanego uważali Eskimosi za domy Tungi. Stary Alleingan poza innemi przechwałkami, twierdził jeszcze, że sam powalił ostatniego z rodu Tungi. I wszyscy mu wierzyli. Nikt nie był tak bezwstydnym, by prosić o pokazanie zwłok zabitego. Zresztą sztuk jego widziałem niewiele, był na tyle mądry, że wołał popisywać się przed inną publicznością. Uważałem go za wyrafinowanego, starego szarlatana, który wyzyskuje łatwowierność swoich ziomków, dlatego starałem się mu przeciwdziałać, choć nie wierzyłem, abym mógł osiągnąć jakiś trwały rezultat.

Przypisy

[1] Błąd w druku; zaznaczony wiersz tekstu wydrukowano na końcu zdania.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

